

Koncept

magazyn akademicki

PRAWDZIWA SZTUKA PŁYNIE Z SERCA

Wywiad z Arturem Urbanowiczem

PODRÓŻE W CZASACH PANDEMII

Na co trzeba uważać?

POLSKA POŁUDNIOWA

Przewodnik po atrakcjach turystycznych

KONKURS!

Pokaż nam swój fotoreportaż
i wygraj bon o wartości **500 zł!**

Twoją pasją jest fotografia?

Potrafisz połączyć słowa z obrazem
i stworzyć z nich spójną opowieść?

Pokaż nam swój fotoreportaż!

Potrzebujemy od 5 do 7 zdjęć
i kilkuzdaniowy opis każdej fotografii.

Termin nadsyłania prac: **31.08.2020 r.**
na adres redakcja@gazetakoncept.pl z dopiskiem KONKURS
Regulamin konkursu dostępny na stronie www.gazetakoncept.pl

Myśl obrodnia i nóż do gardła

Stefan Kisielewski napisał kiedyś, że (...) *nic tak nie zbliża i nie wychowuje ludzi jak dyskusja. Błędem jest zacieranie różnic światopoglądowych, błędem też jest podrzynanie sobie gardła.* Minęło kilkadziesiąt lat i teraz to już nawet nie ma co zacierać. Co prawda (i na szczęście!) nie dlatego, że wszystkie gardła zostały poderżnięte. Po prostu zniewoliła nas iluzja swobody.

Tę swobodę miał gwarantować internet. Przynajmniej tak u progu XXI wieku przekonywali entuzjaści nowych technologii. Globalna sieć – dzięki swej demokratycznej naturze – miała zapewnić niczym nieskrępowaną debatę wokół biegunowo odległych idei. Tymczasem okazało się, że to wszystko jest zwyczajną błądą. Bo przez internet sami wpechnęliśmy sobie w usta najgorszy z knebli: knebel autocenzury.

Zdaję sobie sprawę, że to bolesny wniosek – w końcu piękne ujęcia wrzucane na Instagram zdobywają setki lajków, co tylko utwierdza nas w błogiej iluzji sukcesu indywidualizmu. Tymczasem w rzeczywistości mechanizmy mediów społecznościowych to nic więcej jak kolejne przerzuty raka uniformizmu.

A to dlatego, że nie ma darmowych obiadów. Więc teoretycznie bezpłatne serwisy muszą z czegoś generować zysk. A w wirtualnym świecie jedną z najcenniejszych rzeczy jest uwaga odbiorców. By ją przyciągnąć (i utrzymać), algorytmy podsuwają nam treści zbliżone do tych, z którymi zwykliśmy wchodzić w interakcje. Jest to źródłem zjawiska



zwanego „bańką informacyjną”. Mechanizmy wiodących portali zwyczajnie odcinają nas od treści, które mogłyby wyrwać odbiorcę z wygodnej iluzji samozadowolenia.

To z kolei wzmacnia proces autocenzury. W końcu zaprezentowanie poglądu krańcowo odmiennego od nurtu dominującego w „naszej” bańce może się skończyć smutnym brakiem reakcji. Dlatego niejedynemu internecie dwa razy ugryzie się w mózg, zanim dopuści go do głosu. Bo o wiele korzystniej jest gdać w chórze.

W ten sposób demokratyczna debata zamienia się w ogłuszającą kakofonię. Głosy w głuchych telefonach służą wyłącznie przekonaniu przekonanych. Bo złowrogi cenzor urządził sobie gabinet w naszych głowach.

„Koncept”
magazyn akademicki

Wydawca:
Fundacja Inicjatyw
Młodzieżowych
Adres: ul. Solec 81b;
lok. 73A, 00-382 Warszawa

Strona:
www.fim.edu.pl
www.gazetakoncept.pl

E-mail:
redakcja@gazetakoncept.pl

Redakcja:
Mateusz Zardzewiały
(red. nacz.),
Dominika Pałcar,
Wiktor Świetlik,
Hubert Kowalski,
Filip Cieśliński,
Mateusz Kuczmi-
rowski i inni

Projekt, skład i łamanie:
Henryk Prokop

Korekta:
Aleksandra Klimkowska

Media i dystrybucja:
Dawid Alberski

Druk prasowy wykonuje
Drukarnia Kolomb
z siedzibą w Chorzowie.

Aby poznać ofertę
reklamową, prosimy
o kontakt pod adresem:
redakcja@gazetakoncept.pl

Chcesz dystrybuować
„Koncept” na swojej
uczelni? -> PISZ:
redakcja@gazetakoncept.pl

fim.
Fundacja Inicjatyw
Młodzieżowych



ZNAJDŹ NAS:

@GazetaKoncept

@FundacjaFIM

/fundacja
inicjatyw
młodzieżowych



Sfinansowano przez Narodowy Instytut Wolności
– Centrum Rozwoju Społeczeństwa Obywatelskiego
ze środków Programu Rozwoju Organizacji Obywatelskich
na lata 2018–2030.



Prawdziwa sztuka płynie z serca

Artur Urbanowicz to pisarz młodego pokolenia, o którym w ostatnim czasie jest bardzo głośno. Specjalizuje się głównie w horrorach, choć z wykształcenia jest... matematykiem. Laureat Nagrody Polskiej Literatury Grozy im. Stefana Grabińskiego i autor bestsellerowego „Inkuba” w rozmowie z magazynem „Koncept”.

„Koncept”: Kiedy pomyślał Pan o tym, by zostać pisarzem? Jak to się właściwie zaczęło?

Artur Urbanowicz: Od zawsze miałem smykałkę do tworzenia. W podstawówce na języku polskim pisałem wiersze, w gimnazjum z kolei lubiłem prace domowe, w których należało wymyślić opowiadanie. Pierwszą powieść napisałem w wieku czternastu lat. Było to sci-fi dla młodzieży o chłopcu w stalowej masce, który przenosi się w przyszłość i walczy z robotami przy użyciu ognistego miecza. W liceum miałem epizod, w którym tworzyłem muzykę elektroniczną, zresztą amatorsko bawię się dźwiękiem i grafiką do dziś. Na poważnie pomyślałem o tym, by napisać książkę, podczas spaceru z rodziną po Puszczy Rominckiej. Zainspirowała mnie twórczość Stefana Dardy, który poprzez powieści grozy promował Rostocze, skupiając się na walorach krajobrazowych. Uznałem, że suwalczanie „nie gęsi”, stąd pomysł, by coś podobnego osadzić na Suwalszczyźnie. Tak powstało „Gałęziste”.

Z tego, co mi wiadomo, ukończył Pan matematykę. Skąd taka rozbieżność zainteresowań? Jest Pan zaprzeczeniem stereotypu mówiącego o tym, że umysły ścisłe nie przepadają za przedmiotami humanistycznymi...

Ten stereotyp jest błędny! Jestem zdania, że osoby o umysłach ścisłych są bardzo kreatywne. Nie wiem, jak to wygląda ogólnie, ale w moim otoczeniu widzę taką korelację. Mój brat zaczął studiować informatykę, a skończył jako aktor. Mój przyjaciel, który pracuje w Google, współtworzył festiwal Teatr-Akcje. Takie przykłady można mnożyć.

Dlaczego akurat kariera pisarza? Przecież Polacy, podobno, książek nie czytają...

Prawdziwa sztuka, taka płynąca prosto z serca, nie patrzy na trendy. Swoje powieści traktuję jak dzieła, nie produkty, nawet pomimo ich roz-

rywkowego charakteru. Bardzo angażuję się w nie emocjonalnie, sporo nad nimi pracuję, poprawiam je wręcz w nieskończoność. Nie powstają dla pieniędzy. To pasja.

Na co dzień łączy Pan pisanie z pracą w korporacji i na uczelni. Jak udaje się to wszystko pogodzić? A może coś się w tym zakresie zmieniło?

Ostatnio zajęcia na uczelni zmieniłem na zajęcia w szkole kreatywnego pisania, gdzie uczę innych. Godzę to w taki sposób, że mam sztywny harmonogram dziennych zajęć, nie prowadzę życia towarzyskiego, nie założyłem rodziny, nie mam dziewczyny, nie marnuję bezcennych minut na rzeczy, które nie posuwają mnie naprzód. Zdziwiłbyś się, jak wiele czasu dziennie człowiek marnuje na takie czynności.

Wydaje mi się, że w karierze pisarza najtrudniej jest zacząć. Jak zainteresować wydawców, by zdecydowali się wydać debiutancką publikację nieznanego autora? Jak jest potem np. z kwestią dystrybucji? Mógłby Pan zdradzić, jak to się zaczęło?

Swoją pierwszą powieść wydałem w systemie vanity press, polegającym na tym, że płaci się wydawcy za publikację. System ten ma złą renomę, ponieważ wielu zakłada z góry, że skoro książka nie znalazła tradycyjnego wydawcy, to znaczy, że jest słaba. To duże uproszczenie i krzywdzące uogólnienie. Wierzyłem w swoją prozę, zdecydowałem się wejść na rynek w taki sposób i jak najszybciej zacząć powiększać bazę swoich odbiorców, bo na szczęście nie wszyscy z góry skreślają powieści wydane w systemie vanity, które są normalnie dystrybuowane w księgarniach internetowych. Moje zaangażowanie sprawiło, że wydawnictwo Vesper w końcu odezwano się do mnie samo.

Jakich porad udzieliłby Pan początkującym pisarzom lub osobom piszącym do szuflady i dopiero marzącym o wydaniu swojej pierwszej książki?

Jeżeli chodzi o powieści, które są dla mnie wzorem w kwestii tempa, kreacji postaci, konstrukcji świata i fabuły, to jest to zdecydowanie cykl „Harry Potter”.

Wierzcie w siebie, poszerzajcie wiedzę o pisaniu, szukajcie sposobów, jak zainteresować innych swoją twórczością, i przede wszystkim nie zakładajcie, że wydawcy są wyrocznią, która rozstrzyga, czy coś jest dobre. Nie, taką wyrocznią są wyłącznie czytelnicy. Ale jednocześnie zachowajcie pokorę i bądźcie swoimi umiarkowanymi krytykami.

Czy jest Pan fanem twórczości Mistrza Grozy z Maine? Pytam, bo jak to z naszymi autorami horrorów bywa, także i Pana już parokrotnie mianowano „polskim Stephenem Kingiem”...

Piszemy zupełnie inaczej. Niektóre jego książki, jak „Cmętarz zwieżąt”, uwielbiam, inne z kolei „wchodzą” mi o wiele ciężiej. Nie nazwałbym się fanem, ostatnio czytam go głównie pod kątem warsztatowym, aby odkryć, co w jego prozie działa dobrze, i dzięki temu wzbogacić swoje rzemiosło. Jeżeli chodzi o powieści, które są dla mnie wzorem w kwestii tempa, kreacji postaci, konstrukcji świata i fabuły, to jest to zdecydowanie cykl „Harry Potter”. Dzieło J.K. Rowling łączy z moimi historiami chociażby to, że każdą swoją książkę staram się kończyć dużym zwrotem akcji, twistem, który wywoła u czytelnika efekt „wow!”. Poza tym ich lektura ma być po prostu dobrą zabawą.

Dlaczego właśnie literatura grozy, a nie np. kryminały?

Z miłości do tego nurtu. Kocham grozę, więc ją tworzę. Nie broni to jednak łączyć jej z innymi gatunkami. Przykładowo „Inkub” to połączenie grozy z kryminałem, natomiast „Grzesznik” to horror zmieszany z powieścią gangsterską.

Wydał Pan do tej pory trzy książki. Każda kolejna zbiera jeszcze lepsze recenzje, a o Panu robi się coraz głośniejsze. Czy Pan z tego powodu satysfakcję, czy (i) większą presję?

Jestem swoim największym krytykiem. Kiedy powieść pojawia się na rynku, zbyt szybko już nią nie zajmuję, ponieważ absorbuje mnie praca nad kolejną. Poprzednia to zamknięty rozdział w moim życiu i skupiam się na przyszłości. Dobre recenzje do mnie docierają i cieszą, ale ich negatywnym aspektem jest presja, by sprostac oczekiwaniom czytelników w kolejnych książkach. Bo czy chcę tego, czy nie – moje nowe historie będą porównywane ze starymi.

Podejrzewam, że każdy pisarz ma swój własny schemat działania. Czy Pan, zabierając się do pisania, ma w głowie ogólny motyw przewodni, zarys postaci, a może zna już Pan zakończenie powieści? Czy zabierając się np. za „Inkuba”, wiedział Pan, jak skończy Vitek?

Od początku znam zakończenie. Tylko w takiej sytuacji fabuła będzie pracować na końcowy twist już od prologu, dzięki czemu wywoła większą satysfakcję u czytelnika. Jestem zwolenni-



źródło: lubimyczytac.pl
Zdjęcie autorskie / fot. Justyna Wasimewska

kiem szczegółowego planowania, choć nie unikam improwizacji, zwłaszcza przy pisaniu pojedynczych scen.

Wracając do „Inkuba” – mnie chyba najbardziej przeraził fakt, że część opisanych historii wydarzyła się naprawdę...

Tak przynajmniej sądzi osoba, która opowiedziała mi rzekomo prawdziwą historię stanowiącą podkładkę pod tę powieść. Sporo jednak dodałem od siebie. Niemniej było to tak inspirujące, że kiedy spisywałem pomysły w związku z fabułą, doznawałem ciarek. To najprostszy sposób na szukanie inspiracji – chodzenie po ludziach i słuchanie ich historii.

Czy spodziewał się Pan aż takiego pozytywnego zamieszania wokół tej książki?

Zdecydowanie nie. Czuję, że to może być jak dotąd najlepsza powieść w moim dorobku, ale jej ogólny odbiór przeszedł moje najśmielsze oczekiwania.

Myszę, że swoje zrobiła także bardzo dobrze zorganizowana akcja promocyjna. Nie mówię, że był to czynnik decydujący o sukcesie – dobre opinie nie biorą się znikąd – ale dzięki temu więcej odbiorców mogło dowiedzieć się o jej pojawieniu na rynku.

Sporo pracuję przy promocji swoich książek, to nie wygląda tak, że oddaję tekst wydawcy, a potem tylko czekam na tantiemy. Jeżdżę na spotkania autorskie i targi książki, odwiedzam szkoły i zachęcam młodzież do czytania, szukam nietypowych sposobów na zainteresowanie innych swoją twórczością – np. napisałem program stand-upowy o swoich książkach, który prezentuję na spotkaniach z czytelnikami.

Wiem, że w planach ma Pan już czwartą powieść – „Paradoks”. Czy mógłby Pan uchylić rąbka tajemnicy?

Będzie to thriller psychologiczny z elementami horroru i sci-fi, w którym biorę na tapet motyw sobowótora. To powieść, w którą włożyłem jak dotąd najwięcej pracy, najdojrzalsza z dotychczasowych. Liczę, że zmusi czytelnika do myślenia i zapadnie mu w pamięć.

Czego zatem życzyć Arturowi Urbanowiczowi w najbliższym czasie? Przeniesienia któregoś z powieści na duży ekran?

Napisania czegoś, co będzie „Wiedźminem” polskiego horroru – współczesnym kanonem, który sprawi, że moje prace wypłyną na szersze wody, także zagraniczne. Wtedy o ekranizację, o której również marzę, będzie o wiele łatwiej. ■

Podróże w czasach pandemii

Zdążyliśmy się już przyzwyczać do nowej codzienności, jednak dla wielu z nas niewiadomą wciąż pozostaje turystyka. Eksperti twierdzą, że koronawirus nie opuści nas tak szybko, dlatego warto zainteresować się nowymi zasadami wyjazdów, tak aby podróże były możliwe, ale przede wszystkim bezpieczne.

Jeszcze kilka miesięcy temu nikt nie spodziewał się, że tak wiele aspektów naszego życia będzie wyglądać inaczej niż dotychczas. Sklepy, kina, centra handlowe, komunikacja miejska – właściwie wszędzie wprowadzono nowe zasady. Codziennością stały się dla nas maseczki i płyn dezynfekcyjny.

Jednak pandemia nie wszędzie wygląda tak jak u nas. Nie jest możliwe stworzenie prostego przewodnika, jak zachować się podczas podróży krajowych i zagranicznych, z uwagi na fakt, że liczba zachorowań dynamicznie się zmienia. Jednak można wyróżnić kilka uniwersalnych zasad postępowania, by dowiedzieć się, w jaki sposób trzeba reagować na zmieniającą się sytuację. Dzięki temu uda się zminimalizować ryzyko. Poniższe wskazówki będą na tyle uniwersalne, że (bez względu na porę roku) będziecie mogli wrócić do tego artykułu przed każdą podróżą.

PLANOWANIE WYJAZDU

Z powodu pandemii poszczególne kraje, także Polska, wprowadziły wiele ograniczeń dotyczących zasad przekraczania granic. Przykładowe z nich to:

- całkowity zakaz przekraczania granic dla ruchu turystycznego;
- obowiązek poddania się

14-dniowej kwarantannie po przekroczeniu granicy;

- obowiązek przedstawienia negatywnego wyniku badania PCR na obecność SARS-CoV-2;
- konieczność wypełnienia ankiety lub zgłoszenia podróży online w odpowiednim czasie przed przekroczeniem granicy.

Nie jest możliwe stworzenie listy państw oraz wprowadzonych przez nie ograniczeń, ponieważ są one często zmieniane, w zależności od sytuacji epidemiologicznej. Warto zwrócić uwagę, że część krajów wprowadziło je w zależności od obywatelstwa podróżującego, a część uzależniła decyzję od miejsca, z którego przekraczamy granicę. Podczas planowania podróży warto dokładnie sprawdzić, jakie warunki trzeba spełnić, i czy jest ona w ogóle możliwa. Może okazać się, że atrakcyjny cenowo wyjazd zaskoczy nas obowiązkiem badania PCR (na obecność SARS-CoV-2), którego koszt to około 500 zł. Oczywiście musimy wykonać je prywatnie. Aktualną listę ograniczeń znajdziecie na stronie Ministerstwa Spraw Zagranicznych (www.gov.pl/web/dyplomacja/informacje-dla-podrozujacych).

Przy rezerwacji noclegów oraz kupnie biletów najlepiej wybierać takie, które mają opcje zmiany terminu lub odwołania. Jeśli tego nie zrobimy, to jest jeszcze możliwość

ubezpieczenia kosztów wyjazdu, na co mamy najczęściej tylko kilka dni. Zwykle nie jest to duży wydatek, a dzięki niemu możemy odzyskać większość poniesionych opłat.

PRZYGOTOWANIE MEDYCZNE

Wizyta u lekarza medycyny podróży to dobry pomysł przed każdym wyjazdem. Tam otrzymacie najbardziej aktualne i profesjonalne informacje. Jednak wiele osób z niej rezygnuje, czy to ze względu na koszty, czy ze względu na to, że cel podróży to kraj zbliżony do naszego pod względem klimatycznym i sanitarnym.

Bez względu na wybrany kierunek, w czasach pandemii trzeba pomyśleć o zdrowiu już przed wyjazdem. Oczywiście jest to, że nie wolno nam jechać, jeśli jesteśmy chorzy. Nie tylko zwiększamy ryzyko cięższego przebiegu choroby, ale możemy spotkać się z przykrą niespodzianką na granicy, gdzie po prostu odmówią nam wjazdu na terytorium danego państwa. Jednak samopoczucie to nie wszystko. Wizyta u lekarza na wyjeździe nie była ostatnio problemem. Wystarczy dobre ubezpieczenie i nawet nie odczuwamy jej kosztów w portfelu. Jednak teraz się to zmieniło. Wizyty zostały ograniczone do niezbędnego minimum, dlatego do lekarza może być trudno się dostać.

Pandemia nie wszędzie wygląda tak jak u nas. Nie jest możliwe stworzenie prostego przewodnika, jak zachować się podczas podróży krajowych i granicznych.



Ponadto wizyta w szpitalu będzie wiązać się z rozłąką z naszymi znajomymi czy rodziną, bo zakazane zostały jakiegokolwiek odwiedziny. Dlatego tak ważne jest zatroszczenie się o swój stan zdrowia przed podróżą. Jest to zarówno zadbanie o stabilny stan chorób przewlekłych, jeśli takie mamy, jak i skompletowanie dobrej apteczki, dzięki której może unikniemy konieczności korzystania z pomocy. Warto skonsultować jej zawartość z lekarzem albo chociaż sprawdzić, co polecają eksperci np. na stronie Medycyny Praktycznej (mp.pl). Przed kupnem ubezpieczenia turystycznego sprawdźcie, czy obejmuje ono leczenie COVID-19, a także zadbcie o aktualną kartę EKUZ, jeśli wybieracie się do państw Unii Europejskiej.

Szczególnie ważna jest też profilaktyka! Objawy wielu chorób mogą przypominać koronawirusa, a wielu z nich możemy uniknąć, stosując ją czy to w postaci tabletek (np. na

BEZPIECZEŃSTWO W TRAKCIE PODRÓŻY

W trakcie pandemii sam wyjazd również będzie wyglądał inaczej niż dotychczas. Zaczynając od transportu, a na wizytach w restauracjach kończąc. Wszędzie obowiązują nowe zasady. Wybierając się za granicę własnym samochodem, należy pamiętać, że większość państw Strefy Schengen wznowiła kontrole graniczne, dlatego warto sprawdzić informacje bezpośrednio przed wyjazdem i przygotować się na ewentualne korki. Alternatywa, czyli podróż samolotem, może budzić niepokój ze względu na małą, zamkniętą przestrzeń. Jednak system wentylacji został tam zaprojektowany w taki sposób, że powietrze krąży z góry na dół, a nie miesza się na całej długości. Przeprowadzono badania, że dzięki temu ryzyko zakażenia występuje właściwie tylko od pasażerów z sąsiednich miejsc. Wykazano

Może okazać się, że atrakcyjny cenowo wyjazd zaskoczy nas obowiązkiem badania PCR (na obecność SARS-CoV-2), którego koszt to około 500 zł.

malarię), czy w postaci szczepień ochronnych, także tych dobrze nam znanych jak np. grypę. Warto pamiętać, że to dobry czas na uzupełnienie ewentualnych zaległości w szczepieniach, również jeśli nie planujemy wyjazdu, a także zaszczepienie się na grypę, jak tylko pojawi się szczepionka. Powiedzenie „lepiej zapobiegać, niż leczyć” jest teraz dużo bardziej aktualne niż kiedykolwiek wcześniej. Szczegółową listę zalecanych szczepień oraz konieczność stosowania profilaktyki znajdziecie na stronie CDC (cdc.gov).

również, że realna transmisja jest jednak większa ze względu na to, że wirus może przeżyć nawet kilka dni na różnych powierzchniach, których dotykamy, przenosząc później wirusa w okolice twarzy. Ryzyko zarażenia się poprzez samo oddychanie w samolocie jest więc niskie, ale wzrasta, jeśli nie będziemy przestrzegać zaleceń sanitarnych.

Dezynfekcja rąk lub ich umycie wodą z mydłem po każdorazowym kontakcie z powierzchnią, której mogą dotykać inni pasażerowie, zachowanie dystansu 1,5-2 metrów

oraz zasłanianie nosa i ust powinny skutecznie obniżyć ryzyko. Pamiętajmy, że jedynie maseczka wyposażona w filtr N95 chroni nas przed wirusem, pozostałe chronią innych przed nami. Żeby skutecznie powstrzymać transmisję zwykłą maseczką, muszą nosić ją wszyscy! Dlatego nie bójcie się zwracać uwagi, jeśli ktoś nie stosuje się do tego obowiązku. Gra toczy się o Wasze bezpieczeństwo. Pamiętajcie też, że jest to działanie skuteczne tylko jeśli zasłonięte są i usta, i nos! Nie jedno z nich, ani nie broda! Przed wylotem warto zapoznać się z informacjami dotyczącymi funkcjonowania lotnisk. W chwili obecnej poza obowiązkiem noszenia maseczek obowiązuje także zakaz wstępu dla osób bez biletu czy z objawami sugerującymi COVID-19.

Każdy kraj ma odmienne wytyczne, do których należy się stosować. Po raz kolejny odsyłamy do strony Ministerstwa Spraw Zagranicznych, gdzie można znaleźć informację o każdym z nich. Jednak poza narzuconymi odgórnie restrykcjami należy zrobić wszystko, aby wyjazd był bezpieczny. Nawet jeśli lokalne prawo na coś pozwala, to zawsze rozważmy, czy warto. Komunikacja publiczna zawsze stwarza większe ryzyko niż własny samochód. Wybierając taksówkę, dopilnujmy, żeby kierowca miał założoną maseczkę. W restauracji zwracajmy uwagę na to, czy zachowane są bezpieczne praktyki. Unikajmy dużych skupisk ludzkich, zachowujmy bezpieczną odległość oraz często myjmy lub dezynfekujmy ręce. Kierujmy się zdrowym rozsądkiem. To pozwoli na udany wypoczynek i zdrowy powrót do domu. ■

Interesujące miejsca na południu Polski

Południowa Polska to niezwykle zróżnicowany i bardzo ciekawy obszar naszego kraju. Swoje miejsce znajdą tu miłośnicy gór, architektury, większych miast czy ośrodków kulturalnych.



ZAKOPANE

Propozycja ta nie powinna być dla nikogo żadnym zaskoczeniem. Nazywane „Perłą Tatr” Zakopane jest jednym z najpopularniejszych ośrodków turystycznych w Polsce. I to na długo przed pojawieniem się pewnej popularnej piosenki z nazwą tej górskiej miejscowości w tytule. Najbardziej reprezentacyjna ulica Zakopanego, Krupówki, oferuje mnóstwo ciekawych form spędzania wolnego czasu: od restauracji, po muzea, galerie sztuki czy np. papugarnie. Nie jest to jednak najważniejsze. Prze-

piękne górskie widoki stanowią, a przynajmniej powinny, główny punkt programu. Te podziwiać można, wybierając się chociażby na Gubałówkę. Jeśli nie jesteście przyzwyczajeni do pieszych wędrówek, nic straconego – na szczyt można wjechać wyciągiem krzeselkowym lub kolejką linową. Podobnie jak na liczący 1987 m n.p.m. Kasprowy Wierch, z którego widok zapiera dech w piersiach. Bardziej wprawieni wędrowcy z pewnością powinni także zaliczyć Giewont. Sportowcy muszą za to zobaczyć Wielką Krokiew – największą skocznię narciarską w Polsce.



CUDOWNY KRAKÓW

Nie bez powodu stolica województwa małopolskiego jest jednym z najchętniej odwiedzanych miast w Polsce. Kraków oferuje mnóstwo atrakcji. Niektóre z nich po prostu trzeba zobaczyć. Spacer po Rynku Głównym to rzecz, od której warto zacząć zwiedzanie. W jego centralnej części znajdują się słynne Sukiennice, które od średniowiecza stanowiły miejsce wymiany handlowej. Warte

polecenia jest również podziemne muzeum, które pozwoli zapoznać się z historią dawnej stolicy Polski. Jednym z symboli miasta jest także kościół archidiecezjalny Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, znany przede wszystkim jako kościół Mariacki. Świątynia z przełomu XIV i XV wieku z pięknym ołtarzem niemieckiego rzeźbiarza Wita Stwosza robi ogromne wrażenie. Co godzinę z północnej wieży kościoła grany jest słynny hejnał

mariacki. Zamek Królewski na Wawelu czy Brama Floriańska to także obowiązkowe punkty, bez których trudno uznać wycieczkę do Krakowa za udaną. Podobnie jak powstała w 1969 roku rzeźba przedstawiająca Smoka Wawelskiego, znajdująca się przy wzgórzu wawelskim, nieopodal wyjścia z jaskini zwanej Smoczą Jamą. Pełno uroku ma w sobie również zabytkowa żydowska dzielnica Kazimierz. Spacer klimatycznymi uliczkami to czysta przyjemność.

WIELICZKA

Bardzo blisko Krakowa znajduje się najslawniejsza polska kopalnia soli w Wieliczce. Bez wątpienia jest to jedna z najchętniej odwiedzanych atrakcji w naszym kraju. Kopalnię wpisano na listę światowego dziedzictwa UNESCO, przyznano jej tytuł pomnika historii, a także uznano jednym z naszych „siedmiu cudów”. Można poczuć się tam jak w prawdziwym podziemno-solnym mieście, pełnym korytarzy i malowniczych

rzeźb, kaplic i jeziorzek solankowych. Do dyspozycji zwiedzających jest także Muzeum Żup Krakowskich, które znajduje się blisko 135 metrów pod ziemią. W kilkunastu komorach roztawione są ekspozycje przedstawiające historię miasta, jak również przedmioty związane z wydobyciem i transportem soli. W komorze Russegera V znajduje się XVI-wieczny róg Bractwa Kopaczy oraz dzieło Jana Matejki ukazujące świętą Kingę. Na podziemnym terenie znajduje się m.in. kaplica z jej relikwiami.



ATRAKcje GÓRNEGO ŚLĄSKA

Województwo śląskie raczej nie przychodzi nam do głowy w pierwszej kolejności, gdy myślimy o podróżowaniu po Polsce. Czy słusznie? W tym regionie, kojarzącym się z gwarą i kopalniami, znajduje się kilka miejsc wartych uwagi. Wybierając się na Górny Śląsk, powinniśmy udać się do Kopalni Guido, której początki sięgają XIX wieku. Dziś obiekt pełni rolę muzeum. Zjazd kilkaset metrów pod ziemię w towarzystwie przewodnika działa na wyobraźnię i pozwala zrozumieć specyfikę pracy górników z poprzednich stuleci. Na własne oczy można zobaczyć sposób działania niektórych urządzeń, a samo

muzeum uzupełniono o nowoczesne projekcje multimedialne. Wszystkich tych, których obowiązkiem punktem każdej wycieczki są muzea, usatysfakcjonować powinno Muzeum Śląskie w Katowicach. Dziś jest to nowoczesny, interaktywny kompleks oferujący mnóstwo atrakcji i udostępniający wiele znaczących dzieł malarskich autorstwa Józefa Chełmońskiego, Stanisława Wyspiańskiego, Jana Matejki czy Jacka Malczewskiego. Miłośnicy zamków i średniowiecznych klimatów powinni z kolei podążać Szlakiem Orlich Gniazd, obejmującym jurajskie warownie na terenie województw śląskiego i małopolskiego. Wśród nich warto wyróżnić chociażby Ogrodzieniec

znajdujący się we wsi Podzamcze w powiecie zawierciańskim. Ruiny zamku wybudowanego na przełomie XIV i XV wieku przepięknie komponują się z otaczającymi je skałami wapiennymi. Będąc na Górnym Śląsku, zaleca się również wybrać do Pszczyny, gdzie znajduje się urokliwa dawna rezydencja magnacka. Wraz z dużym zabytkowym parkiem krajobrazowym tworzy piękny kompleks parkowo-pałacowy. Obiekt, wielokrotnie przebudowywany, był własnością wielu książąt, a nawet cesarską kwaterą. To w tym miejscu wojskowe strategie omyslał niemiecki dowódca Paul von Hindenburg. Co ciekawe, niedaleko rezydencji znajduje się także rezerwat żubrów.

RZESZÓW

Stolica województwa podkarpackiego. Na terenie klimatycznego rzeszowskiego rynku znajduje się, podobnie jak w Krakowie, muzeum podziemne, które pozwoli zapoznać się nam z historią tego regionu. Będąc na rynku, warto zwrócić również uwagę na klimatyczny ratusz, wybudowany najprawdopodobniej przed końcem XVI-go stulecia, który dzisiejszy wygląd zawdzięcza przebudowie w XIX wieku. Melomani bez problemu powinni dostrzec na deptaku pomnik legendarnego

polskiego muzyka Tadeusza Nalepy. Jeżeli jesteście osobami sentymentalnymi, lubiącymi powracać do czasów dzieciństwa (lub dzieciństwa rodziców), koniecznie wybierzcie się do Muzeum Dobranocek, gdzie znajdują się lalki oraz rekwizyty znane z bajek takich jak „Jacek i Agatka”, „Bolek i Lolek” czy „Reksio”. Jednym z głównych zabytków miasta jest zamek książęcego rodu Lubomirskich, który dziś stanowi siedzibę sądu okręgowego. Przemierzając aleję pod Kasztanami, warto z kolei zwrócić uwagę na urokliwe wille secesyjne z początku poprzedniego stulecia.

MAGICZNY DOLNY ŚLĄSK

Ten malowniczy region Polski ma naprawdę wiele do zaoferowania. W samym Wrocławiu znajduje się kilka miejsc wartych zobaczenia. Przepiękny rynek, zabytkowy Ostrów Tumski, Panorama Raławicka z cykloramicznym obrazem Bitwy pod Raławicami, Wyspa Słodowa czy popularne krasnale to jedne z wizytówek stolicy województwa. Po wielu godzinach zwiedzania warto odetchnąć i wybrać się do jakiejś knajpki, by posilić się lub napić czegoś zimnego. Ciekawą

propozycją wydaje się nasyp kolejowy przy Bogusławskiego, gdzie wzdłuż estakady rozciąga się wiele pubów oraz restauracji. Miejsce to ma naprawdę interesujący klimat. Natłok turystów w tej miejscowości nikogo specjalnie nie dziwi. Jeśli jednak będziemy zmęczeni atrakcjami wielkiego miasta, zawsze możemy wybrać się w góry. Tych na Dolnym Śląsku nie brakuje. Góry Izerskie, Karkonosze, Góry Sowie, Góry Wałbrzyskie... Można by tak wymieniać. Wybierając się do drugiego po Wrocławiu pod względem wielkości

miasta, czyli Wałbrzycha, nie sposób nie zwiedzić słynnego zamku Książ, w którym przed laty żyła księżna Daisy. Stamtąd jest już rzut beretem do Świdnicy, gdzie znajduje się wpisany na listę UNESCO Kościół Pokoju pw. Świętej Trójcy czy pomnik najsłynniejszego niemieckiego lotnika z czasów I wojny światowej „Czerwonego Barona”. Jeżeli bardziej interesujecie się tematyką II wojny światowej, to koniecznie powinniście wybrać się do Walimia i Głuszycy, by zobaczyć tajemnicze podziemia związane z projektem Riese.

Słów kilka o SOR-ach

SOR, czyli Szpitalny Oddział Ratunkowy, to specyficzne miejsce. Nikt nie chciałby się tam znaleźć, jednak w sytuacji nagłego zagrożenia zdrowia i życia jest pierwszą myślą w naszej głowie. To tam personel medyczny udziela niezbędnej i natychmiastowej pomocy. To tam codziennie toczy się walka o ludzkie życie.



SOR, czyli Szpitalny Oddział Ratunkowy, to specyficzne miejsce. Nikt nie chciałby się tam znaleźć, jednak w sytuacji nagłego zagrożenia zdrowia i życia jest pierwszą myślą w naszej głowie. To tam personel medyczny udziela niezbędnej i natychmiastowej pomocy. To tam codziennie toczy się walka o ludzkie życie.

Jeśli nigdy tam nie trafiłeś, to można z pewnością powiedzieć, że jesteś szczęściarzem. Jestem jednak pewna, że każdy z nas słyszał jakieś historie o tym miejscu, nawet jeśli nigdy go nie odwiedził. Czy były to pełne wdzięczności opowieści o heroizmie lekarzy i ratowaniu ludzkiego życia? Czy może jednak przepełnione goryczą przeżycia o długim oczekiwaniu i braku profesjonalnej opieki? Trudno powiedzieć, które z nich przeważają, a tym bardziej, które mają w sobie więcej prawdy. Bo ta najczęściej leży gdzieś pośrodku i aby ją dojrzeć, konieczne jest zrozumienie, z czym i kiedy powinniśmy się zgłosić na SOR.

Z CZYM SIĘ ZGŁASZAĆ?

Zdrowie to według Światowej Organizacji Zdrowia jedno z najważniejszych wartości i trudno się

się do szpitala, gdzie zazwyczaj trafiamy właśnie na oddział ratunkowy. I jeśli faktycznie nasze dolegliwości stanowią dla nas zagrożenie i nie możemy poczekać kilku godzin, to nie powinniśmy się wahać. Aby skorzystać z pomocy, nie jest potrzebne ani skierowanie, ani wcześniejsza rejestracja. Objawy uzasadniające takie zgłoszenie to na przykład:

- bardzo silny ból głowy,
- silny ból brzucha,
- trudności z oddychaniem,
- nasilone zawroty głowy,
- utrata przytomności,
- problemy z widzeniem,
- krwotoki, których nie jesteśmy w stanie zatamować podstawowymi metodami,
- rozległe rany,
- świeże urazy, które wystąpiły w ciągu ostatnich 24 h.

TAM, GDZIE WZROK NIE SIĘGA

Niestety wielu pacjentów zgłaszających się na SOR nie prezentuje powyższych symptomów. Fakt, że jest on otwarty dla wszystkich bez wyjątku stwarza problem, który dotyka nie tylko personel medyczny, ale także pacjentów. Lekarze zamiast leczyć osoby w stanie zagrożenia

Fakt, że jest on otwarty dla wszystkich bez wyjątku stwarza problem, który dotyka nie tylko personel medyczny, ale także pacjentów. Lekarze zamiast leczyć osoby w stanie zagrożenia życia, zajmują się przypadkami, które powinny znaleźć się w gabinecie lekarza rodzinnego.

z tym nie zgodzić. W momencie, gdy zostanie ono w jakikolwiek sposób naruszone, zazwyczaj panikujemy i chcielibyśmy jak najszybciej uzyskać ratunek. Pierwszym odruchem jest wezwanie karetki lub zgłoszenie

życia, zajmują się przypadkami, które powinny znaleźć się w gabinecie lekarza rodzinnego. I nagle pojawiają się historie o kilkugodzinnym czekaniu i poczuciu, że jest się ignorowanym, że nikt nie pracuje. Trudno się dziwić,



bo tak to faktycznie może wyglądać. Problem polega jednak na tym, że oczekujący pacjenci nie widzą tego, co dzieje się za zamkniętymi drzwiami. W międzyczasie przyjeżdżają karetki, często więcej niż jedna w tym samym czasie, z przypadkami wymagającymi pilnej reakcji. W takich realiach zwykły kaszel czy ból głowy spowodowany zapaleniem zatok może, a nawet musi poczekać. Dlatego Oddział Ratunkowy to nie miejsce na ich diagnostykę i leczenie. To zadanie dla lekarza rodzinnego.

GRA W KOLORY WARTA ŚWIECZKI

Przyjazd karetki na SOR wiąże się zazwyczaj z natychmiastową reakcją personelu. Zespół ratownictwa medycznego przekazuje chorego, a pielęgniarka, ratownik medyczny lub lekarz ocenia stan pacjenta, zbiera wywiad i na tej podstawie przeprowadza segregację medyczną, czyli tak zwany triaż. Badanym przydziela się odpowiednią kategorię stopnia pilności udzielenia pomocy. Dla ułatwienia każda z nich ma swój kolor. W Polsce w zależności od szpitala występuje skala 5- lub 3-stopniowa:

- czerwona – pomoc natychmiastowa, pacjent przyjmowany poza kolejnością,
- pomarańczowa – pomoc bardzo pilna, czas oczekiwania do 10 min,
- żółta – pomoc pilna, czas oczekiwania do 60 min,
- zielona – pomoc odroczone, czas oczekiwania średnio od 2 do 4 h,
- niebieska – wyczekujący, czas oczekiwania średnio od 4 do 8 h.

Osoby z oznaczeniem zielonym lub niebieskim mogą zostać skierowane do placówki POZ lub punktu nocnej i świątecznej opieki zdrowotnej, tzw. „wieczorynki”. Pacjenci wymagający pilnej lub natychmiastowej pomocy są wstępnie diagnozowani, a następnie rozpoczyna się leczenie, które ma na celu stabilizację funkcji życiowych. Po tych czynnościach jest podejmowana decyzja – są oni wypisani lub przekazywani do oddziału zajmującego się daną jednostką chorobową albo transportowani do innej specjalistycznej placówki medycznej.

SOR OD PODSZEWKI

Siedząc wygodnie w fotelu i czytając ten artykuł, można się zastanawiać, o co tyle krzyku.

Wszystko jest klarowne i proste do przeprowadzenia, zasady są z góry określone i wystarczy ich przestrzegać. Na SOR-ach powinien panować ład i porządek. Wiele w tym prawdy, bo faktycznie triaż, stworzenie zespołów resuscytacyjnych oraz odpowiednie algorytmy postępowania mają ułatwić medykom działanie i leczenie pacjentów. Jednak na SOR nie trafia jeden czy dwóch pacjentów, lecz zazwyczaj kilku na raz. Brak wystarczającej liczby personelu medycznego tylko pogarsza sytuację, wszyscy są przemęczeni, a zazwyczaj w perspektywie mają kolejny dyżur, na którym nie ma kto ich zastąpić. Lekarze i pielęgniarki są sfrustrowani, bo na SOR nie tylko przychodzą osoby szukające darmowych badań lub z urazami sprzed tygodnia, ale także przywożeni są pijani, agresyw-

Siedem lat temu Najwyższa Izba Kontroli sprawdzała, jak działa system ratownictwa medycznego w Polsce. Raport zawierał tezę, że w niektórych SOR-ach nawet 80 proc. pacjentów stanowili ci, którzy w ogóle nie powinni się tam znaleźć.

ni ludzie. I nie można odmówić im podstawowych badań, dopiero po wykluczeniu ewentualnych problemów zdrowotnych mogą zostać zabrani na izbę wytrzeźwień. Trafiają tu również starsi – często zaniedbani, z odleżynami, skrajnie niedożywieni. Personel od razu widzi, że są przewlekłe pozbawieni odpowiedniej opieki i powinni być pod nadzorem lekarza rodzinnego i pielęgniarki środowiskowej. Pytanie, co zrobić dalej z takim pacjentem, bo na SOR-ze nie ma długotrwałego leczenia, a jeśli ktoś od dawna jest w takim stanie, to jego życiu w danej chwili nic nie zagraża. Takich przykładów jest mnóstwo, można je mnożyć bez końca. Najgorsze jest jednak to, że to i tak nic nie zmienia.

NIEWYDOLNY SYSTEM

Siedem lat temu Najwyższa Izba Kontroli sprawdzała, jak działa system ratownictwa medycznego w Polsce. Raport zawierał tezę, że w niektórych SOR-ach nawet 80 proc. pacjentów stanowili ci, którzy w ogóle nie powinni się tam znaleźć. Czterech na pięciu pacjentów. Te „nieuzasadnione przypadki” zmniejszają szanse pacjentów w rzeczywistości poważnym stanie – od „czerwonych” do „żółtych” na przeżytku.

Zastanawiając się, z czego to wynika, nie da się dojść do innych wniosków, że coś jest nie tak z całym systemem ochrony zdrowia. Odległe terminy wizyt u specjalistów, operacji czy badań obrazowych powodują, że szukamy innych możliwości. Jeśli kogoś stać na leczenie się w prywatnym sektorze, to zazwyczaj nie ma problemu. Jednak dla większości z nas kilkaset złotych za rezonans magnetyczny czy wizytę u kardiologa jest zbyt dużym wydatkiem. Dlatego ludzie kombinują i trafiają na SOR. Trudno tego nie rozumieć, ale z drugiej strony wyobraźmy sobie, że jesteśmy po drugiej stronie kurtyny. To my mamy wypadek samochodowy i to my oczekujemy na karetkę pogotowia ratunkowego zbyt długo, bo ktoś znowu wezwał ratowników do kaszlu i kataru. Póź-

niej czekamy w kolejce do tomografu z urazem głowy, bo ktoś akurat przypomniał sobie, że od 2 tygodni boli go głowa. A potem czekamy na lekarza, bo akurat walczy z agresywnym pacjentem w stanie upojenia alkoholowego. A czas ucieka i każda minuta jest na wagę złota w wyścigu o nasze życie.

NAJPROSTSZE ROZWIĄZANIA SĄ NAJLEPSZE

Systemu nie jesteśmy w stanie zmienić sami i nie wiemy, ile potrwa jego przekształcenie, tak aby funkcjonował prawidłowo. Jednak możemy zmienić swoje postępowanie. Następnym razem, gdy wpadniemy na pomysł zgłoszenia się do szpitalnego oddziału ratunkowego, możemy się zastanowić, czy na pewno naszemu zdrowiu lub życiu coś zagraża. Możemy sprawdzić, czy nasze objawy są alarmowe i koniecznie powinniśmy się tam udać. Możemy poszukać nocnej pomocy lekarskiej i tam otrzymać pomoc. Jeśli nie będziemy pochopnie podejmować decyzji i traktować SOR-u jako miejsca, gdzie można zgłosić się ze wszystkim, ułatwimy pracę lekarzom, ale przede wszystkim nie będziemy zajmować miejsca ludziom, którzy naprawdę potrzebują natychmiastowego leczenia.

Recenzje

Tom Hanks, druga wojna światowa, olbrzymie wojenne okręty... to wystarczy, żeby wiele osób zachęcić do seansu, ale lista kluczowych składników „Greyhound” nie jest o wiele dłuższa. Twórcy tej produkcji postawili na prostotę, ledwie sugerując, że wykreowany przez nich świat wykracza poza obręb kilkunastogodzinnej bitwy. Efekt końcowy wisi na włosku.

„Greyhound” to premiera Apple+, wykupiona niedawno, gdy dystrybutor filmu musiał odwołać premierę kinową. W ten sposób przypadkiem wpisała się w szersze plany platformy, która wylicytowała wcześniej prawa do nowego wojennego serialu Hanksa i Spielberga. Hanks i druga wojna, nawet bez reżysera „Szeregowca Ryana”, to mocna i czytelna marka. Akcja toczy się w trakcie wojny na Pacyfiku. Tytułowy niszczyciel pod dowództwem świeżo upieczonego kapitana eskortuje kluczowe dostawy i pośrodku oceanu musi ich bronić przed złowieszczymi U-Bootami czającymi się pod wodą.

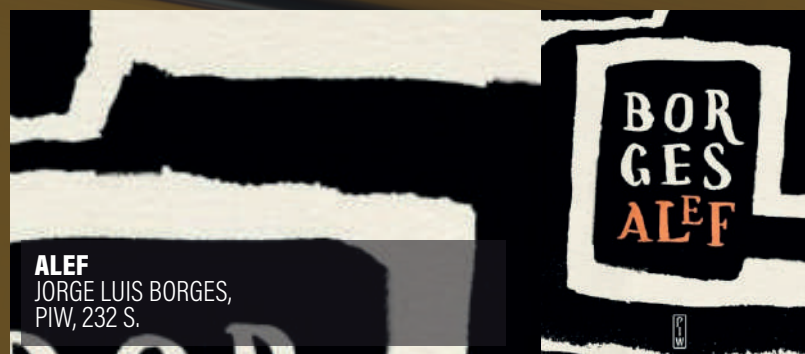
Przez półtorej godziny związłego filmu obserwujemy wyłącznie działania kapitana biegnącego po okręcie,



wypatrującego wroga, wydającego rozkazy, krótko mówiąc, wykonującego swoją pracę, nie znajdując nawet czasu na posiłek. Otrzymujemy homeopatyczną dawkę informacji o nim, prawie nie wpływającą na wydźwięk historii poza tym, że wiedza o jego braku doświadczenia być może zwiększa napięcie. Poznajemy kapitana od ludzkiej strony, gdy myli nazwiska lub musi zatemperować ołówek, ale oczywiście nigdy nie mamy wątpliwości, że jest dobroduszny i sumienny.

Reżyser Aaron Schneider chwalił się w wywiadach, że w filmie każda

kropelka wody jest cyfrowa. Relatywnie do mnogości efektów i średnich rozmiarów budżetu rezultat jest dobry, ale widoczne wizualne powinowactwo z gramy video niezupełnie zestrza się z wiernym odwzorowaniem historycznych detali, którym także szczycił się Schneider. Trochę brakuje, aby film wzniósł się na wyższy poziom, ale to nie znaczy, że nie sprawdza się on jako gatunkowa pigułka. Może jednak rozminąć się z oczekiwaniami widzów równie fortunnie, jak mijają się filmowe okręty – o centymetry.



ALEF
JORGE LUIS BORGES,
PIW, 232 S.

Borges wydaje się być w Polsce raczej dobrze rozpoznawalnym autorem, nie cierpiącym jak niektórzy na zapomnienie lub zaniechanie, ale nowe wydania jego twórczości od PIW-u pojawiają się we właściwym czasie, uzasadnione i potrzebne. „Alef” trafia do księgarni pół roku po reedycji „Fikcji”, innego zbioru opowiadań Borgesa, wcześniejszego także według chronologii oryginalnych wydań.

Wybór nie jest przypadkowy, gdyż obydwa zbiory stanowią najsłynniejsze dzieła argentyńskiego pisarza. Wiele z poszczególnych opowiadań debiutowało w lokalnych publikacjach, ale szybko zostały wydane

w zbiorczej formie, w której były publikowane na całym świecie. Jak wskazują eseje zawarte w posłowniu obydwu tomów, w każdym z nich można wyróżnić naczelny temat, w przypadku „Alef” wskazana zostaje podejmowana na kilka sposobów problematyka tożsamości ludzkiej.

Sam „Alef” to równocześnie także tytuł ostatniego opowiadania z najnowszego zbioru oraz opisane w nim miejsce, w którym widoczne są wszystkie inne punkty we wszechświecie, a które znajduje się w... piwnicy znajomego grafomana alter-ego pisarza, bohatera i narratora opowiadania. Borges słynie z podobnych konceptów, w tym samym tomie

przeczytamy także o Zahirze, przedmiocie, który raz ujrany nie daje o sobie zapomnieć i doprowadza do szaleństwa. Najsłynniejszym z borgesowskich konceptów jest opisany w „Fikcjach” świat będący nieskończoną biblioteką gromadzącą tomy z wszystkimi możliwymi kombinacjami znaków („Biblioteka Babel”).

W nowym tomie przeczytamy również m. in. o nieśmiertelnym od starożytności wędrującym po ziemi, różnego rodzaju sobowtórach, których losy są splecione lub powiązane (wspomniana tożsamość jest tu najbardziej widoczna), pętli czasowej, przeznaczeniu, labiryntach, wielu magach, łotrach, uciekinierach, królach i myślicielach, niektórych historycznych, a niektórych fikcyjnych. W każde opowiadanie są wplecione w ogromnej liczbie różnego rodzaju nawiązania i cytaty, wyjaśniane w obszernych przypisach. Bez obaw, krótka forma utworów mieści ograniczoną liczbę encyklopedycznych wtrętów, a wyzwanie dla następnych pokoleń czytelników i krytyków tkwi gdzie indziej – w oszalałymi ideach, których dawkować się nie da, a które jeszcze długo przyciągać nas będą do Borgesa.



Barocco to rzadka i cenna perła o nieregularnym kształcie. Takie miano przypisano epoce w historii kultury europejskiej następującej po renesansie. Kolejna epoka i kolejne pytania stawiane przez ludzi świadomie przeżywających swe istnienie. Czy przystać na świat nietrwały, lecz piękny i postawą swą wyrażać wdzięczność za to, co jest, czy odrzucić miraż tego świata i szukać wartości wiecznie trwałych?

Będąc młodym intelektualistą

ak zauważył Daniel Naborowski: „Dźwięk, cień, dym, wiatr, błysk, głos, punkt – żywot ludzki słynie. Słońce więcej nie wschodzi to, które raz minie”. Poezja ta zachowuje równowagę ducha, stoicki spokój i umiar. Wskazuje na to, by przyjąć świat, jakim jest, podobnie jak własną naturę. „Stateczny umysł” człowieczy w tym pomoże.

Czym się karmić duchowo? Czym żywić umysł? Co obywatel czytać powinien? Rzeczy poważne, a nie ulotne odpowie Wacław Potocki: „Z poważnymi rzeczami mijasz moje karty; / Smaczniej brednie i czytać dla zabawy żarty. / Ciałem, nie duchem żyjesz, po tym cię znać; milejć / Ciało śmiechem niż ducha westchnieniem posilić”. Wtórzuje mu Blaise Pascal: „Zmysły nasze nie chwytają nic krańcowego; zbyt wielki hałas nas ogłusza; zbyt światło oslepia, zbyt odległość i zbyt bliskość przeszkadza wzrokowi”.

Sarmacja to dotąd niezapoznane dogłębnie dziedzictwo umysłowej kultury Rzeczypospolitej szlacheckiej. Polska, drugie wówczas co do wielkości mocarstwo Europy, wielonarodowe, którego niespełna połowę mieszkańców stanowili Polacy. Tarcza i przedmurze Europy. To tu wyrósł ideał niezłomnego rycerza-obroncy rubieży. Nie chodzi tu o obiegowy mit sarmaty, o sarmacką ograniczoność, ale o centralny nurt staropolskiej kultury, o osadzony w literaturze łacińskiej i francuskiej zmysł europejski, o z ducha barokowy, wolnościowy, sarmacki horyzont. Takim go ukazuje Jacek Kowalski w swym *Niezbędniku Sarmaty*.

Poeta Wespazjan Kochanowski, wybitny przedstawiciel tego okresu bronił demokracji przed wpływami obcych dworów. W okresie wolnej elekcji pisał: „Jam jest zwierchnością nad dziedzictwem moim: a jako serc ludzkich prostotę, tak i pól sarmackich równiny z dawną ukochałem. W opiece mojej jest wolność: i ja sam tylko przez przewiedzenie wiem, komu ją mam w zawiadowanie poruczyć. Szczególnym bowiem dziełem moim wolność ludzka: a gdy ode mnie wolna wola pochodzi, toć pewnie

uniewolenia i przymusu nie Kocham. Zrozumieć, królowie, że od Boga ten klinot: a uczcie się, którzy siłą swobodzie stawiacie, że wolność polską ma Pan w opiece swojej”.

Umiłowanie wolności nie było li tylko postulowane, jego przejawem był wielki polityczny projekt obrony niepodległości Rzeczypospolitej – konfederacja barska. Zaktzywizowała ona szlachtę, rozbudziła patriotyzm obywateli, a elity intelektualne pozostawiły nam bogatą lirykę pieśniową. Konfederacki duch przenika pieśni: „Marsz, marsz me serce, pobudkę biją, / Strzelaj modlitwy a chwał Maryją / Bo u Maryji jesteś w komendzie, / Nad Nią mocniejszej mieć świat nie będzie”, „Gdy mi zaś przyjdzie przed Sędzię / Stawić się, wielce strasliwego; / Bądźże mi, Józefie, przy sądzie, / Kiedy mnie sędzić Bóg zasiądzie, / Patronem”.

Jak pisał Ratzinger, barokowy kościół daje możność przeżycia imponującej „*fortissimo* radości”, „*Alleluja*, które przyjęło postać obrazu”. Żeby tego doświadczyć, można jechać do Rzymu – miasta baroku, ale można też odwiedzić dawną Rzeczpospolitą: Kraków, Wilno, Lwów, Grodno, Nieśwież. Tu barok nadal służy człowiekowi w jego refleksji i odkrywaniu bogactwa wymiarów życia. Tu nadal zda się słyszeć jak „podaje wiek wiekowi hymn triumfu, dzięki, czci”. Gdzie, jak nie tu nieskończona głębia, forma otwarta, niejasność, rzeźby, pilastry, kolumny, gzymsy, nisze, oświetlenie, łuki, sklepienia, tympanony, wyrażają to, co w muzyce stworzyli Wolfgang Amadeusz Mozart, Antonio Vivaldi, Johann Sebastian Bach czy Georg Friedrich Händel?

Co z tego wszystkiego wynika? Blaise Pascal stawia kluczowe pytanie: „Kiedy zważam krótkość mego życia, wchłoniętego w wieczność będącą przed nim i po nim, kiedy zważam małą przestrzeń, którą zajmuję, a nawet którą widzę, utopioną w nieskończonym ogromie przestrzeni, których nie znam i które mnie nie znają, przerażam się i dziwię, iż znajduję się raczej tu niż tam, nie ma bowiem racji, czemu raczej tu niż gdzie indziej, czemu raczej teraz niż wtedy... Kto mnie tu postawił? Na czyj rozkaz i z czyjej woli przeznaczono mi to miejsce i ten czas?”.

Śmieszne i straszne

W opowiadaniu „Pierre Menard, autor Don Kichota” Jorge Luis Borges porównuje klasyczne dzieło Cervantesa z książką owego Menarda. Obie książki są identyczne. Słowo w słowo, kropka w kropkę, myślnik w myślnik. Ale Borges udowadnia, że sens tego drugiego „Don Kichota” jest zupełnie inny niż pierwszego, a co więcej – ten drugi jest lepszy.

Ta literacka sztuczka miała pokazywać, że kontekst powstania dzieła jest kluczowy. Że „Don Kichot” napisany w wieku XVII znaczy zupełnie co innego, niż „Don Kichot” napisany w połowie wieku XX. Inna świadomość, inne okoliczności powodują, że pozornie to samo dzieło zupełnie zmienia wydźwięk.

Kiedy przeczytałem opowiadanie Borgesa pierwszy raz, byłem pod wrażeniem polotu i erudycji pisarza, ale sam zamysł wydał mi się tyleż błyskotliwy, co wydumany. Don Kichot to Don Kichot, myślałem sobie lekceważąco i zapomniałem o nieistniejącym Pierre Menardzie na trzy dekady.

Ale jakiś czas temu przypomniała mi o nim poprawność polityczna. Jeden pan z BBC, czyli brytyjskiej telewizji publicznej, powiedział, że dzisiaj nie mogą już powstawać takie programy jak „Latający cyrk Monty Pythona”, tworzone przez białych facetów po Oxfordzie i Cambridge. Że w dzisiejszych czasach grupy komików muszą być zróżnicowane pod względem rasowym, społecznym i seksualnym. Odpowiedział na to Terry Gilliam, jeden z Pythonów, a przy okazji wybitny reżyser filmowy, który ogłosił się Loreta – czarnoskórą lesbijką. No bo skoro trupa satyryczna nie może się składać z białasów heteroseksualnych, to współczesność rzuca nam koło ratunkowe – można sobie wybrać płęć. Acz wybór rasy to chyba swego rodzaju rewolucja.

Zainspirowany przez Gilliamia obejrzałem sobie ponownie „Żywoł Briana”, w którym rzeźbiona Loreta się pojawia. Acz nie jest ani Mu-

zynką, ani lesbijką, ani nawet kobietą, tylko facetem – działaczem Frontu Wyzwolenia Judei, który w ramach rozwalania systemu ogłasza, że chce być kobietą o imieniu Loreta. – To będzie symbol naszej walki z ciemiężcami – mówi dziarsko. – Raczej z rzeczywistością – odpowiada jej/jemu John Cleese. Rany, jak bardzo zmienił się ten film! Chociaż – oczywiście – jest dokładnie taki sam, jak w momencie jego powstania. Ale w 1971 roku widziano w nim przede wszystkim obrazoburczą kpinę z religii, która przesłoniła wszystko inne. Tak było i później. Jeszcze dla mnie, licealisty w latach 80. i studenta w latach 90. ubiegłego wieku „Żywoł Briana” miał mocno skandalizujący posmak, przez swe oczywiste aluzje do Jezusa Chrystusa oraz żarty z religijnego fanatyzmu. Taki był ten film jeszcze niedawno.

Ale w drugiej dekadzie XXI wieku to jedna wielka satyra na zamordystyczny liberalizm, lewicowe aberracje i terror politycznej poprawności. Zewnętrzny kontekst diametralnie odmienił „Żywoł...”. Walka Frontu Wyzwolenia Judei z osiągnięciami rzymskiej cywilizacji, których nie można uznać ze względu na imperialistyczny i faszystowski charakter reżimu, wciąż śmieszny, ale inaczej niż 40 lat temu. Wtedy wydawało się, że to humor absurdalny; dziś, że to obśmianie bardzo aktualnego amoku.

Zdecydowanie, Borges miał rację. Dzieła żyją, a ich interpretacja może zmienić się wraz z czasem i okolicznościami. „Żywoł Briana” jest najlepszym przykładem. A Pythonom trzeba oddać, że stworzyli dzieło niejednoznaczne i profetyczne. I bardzo jest ciekawie obserwować, jak wysadzający porządek społeczny komicy na starość stają się uosobieniem reakcji. Śmieszne to i troszkę straszne.



Ach, ten dymek

Co trzeba mieć w głowie, żeby rozładowywać się, paląc samochód kogoś, kogo nawet się nie zna? Wydawałoby się, że trzeba być jakimś socjopatą, psychopatą, jaki się zdarza raz na milion. Tymczasem to popularny sposób rozładowywania emocji na całym świecie.

Jesteście czasem wkurzeni? Ja gryzę wtedy palce. Nie paznokcie, to mnie wyjątkowo brzydzi, gryzę górną część palców wskazujących, właściwie ich bok, kiedy myślę o czymś, co mnie denerwuje. Kiedyś zatrzymała mnie policja i pytali, czy nic mi nie jest, a także przebadali alkomatem, na tyle wyglądałem podejrzanie. Na moją – słuszną – uwagę, że faceta, który tak się zachowuje, powinni badać raczej pod kątem narkotyków, uczciwie przyznali, że nie mają testów. Faktycznie, to dość dziwny zwyczaj, właściwie typowe zachowanie kompulsywne, ale zauważyłem pewną prawidłowość. Jak sobie pogryzę, to mi przechodzi. Niestety są tacy, którym nie przechodzi nawet wtedy, kiedy do cna spalą wszystkie auta na parkingu albo kogoś zabiją.

Początkowo media udawały, że protesty w USA są takie w sumie miłe i pokojowe. Poza pierwszą ofiarą, nieszczęśliwym uduszonym przez policjanta, wyciszono pozostałe trupy, w tym zamordowanych policjantów. Nie pokazywano płonących amerykańskich miast, ale w dobie internetu tak się nie da, więc trzeba było się przyznać – Ameryka którejś tam miesiąc płonie, a przy okazji od czasu do czasu ktoś ginie. Zginął choćby inny Czarnoskóry, za to, że głosował na Trumpa. W jego przypadku nikt nie protestował i nikt się nadmiernie nie żalił. Podobnie jak 77-letni emerytowany policjant z Saint Louis, też Czarnoskóry, który chciał powstrzymać grabież sklepową. George Floyd mógłby im zaśpiewać „mój trup jest większy niż twój”.

Przy okazji pali się samochody. To najczęstszy dziś widok towarzyszący „pokojowym protestom”. I nic nowego. Samochody palili w Europie rozwydrzeni kibice, wkurzeni rolnicy, spragnieni kobiet i meczetów imigranci, sfrustrowane żółte kamizelki i separatyści. Podpalenie samochodu to już taki standard. Jestem zły, nie podoba mi się,

to muszę spalić samochód. Ostatecznie samochody są nieekologiczne i niemodne. Na przykład wyobraźmy sobie, że agresja byłaby skierowana w stronę rowerów. Pomijając techniczny aspekt, samochód podpalić łatwiej, bo ma paliwo w baku, a rower ani się nie pali, ani nie wybucha, to jakby to wyglądało? Rowery, symbol życia zgodnego z naturą, niszczone przez demonstrantów wyglądałyby fatalnie. A samochody? Wiadomo. Zawsze płonęły.

Nie wiem, co trzeba mieć w głowie, by podpałać Bóg wie czyje samochody. Choć pewnie spora część demonstrantów bierze w tym udział z konformizmu, żeby zyskać akceptację wśród innych demonstrantów, by nie okazać się mięczakami lub zdrajcami, policyjnymi agentami. To jak w polityce, zawsze ci najtwardsi, najbardziej przekonani i pozbawieni wahań to z reguły najwięksi durnie lub karierowicze. Wracając do samochodów – w sumie, dzięki tym ekologiczno-antykapitalistyczno-antyrasistowskim demonstrantom wszyscy będą mieli dobrze. Bogaci, biali faceci z akcjonariatów i zarządów spółek motoryzacyjnych wyprodukują jeszcze więcej samochodów. Murzyni i Polacy przy liniach produkcyjnych będą mieli zapewnioną robotę i nie wyładują na bruk. Gospodarka znowu się rozkręci, bo potrzebuje obrotu. Niedawni demonstrujący znajdą zatrudnienie przy sprzątanii miast. Właściciele samochodów kupią sobie nowe bryki za ubezpieczenie. Zakłady ubezpieczeniowe też są ubezpieczone, a w dodatku dostaną odszkodowania od władz amerykańskich miast, te mają zresztą spore oszczędności, bo w ramach walki ze znienawidzonym prezydentem poobcinały budżety policyjne, co bardzo docenili demonstranci. Prezydent włączy drukarkę pieniędzy, bo wszyscy inni na świecie też włączyli.

Czym to się skończy jeszcze później? Pewnie niczym przyjemnym, ale historia ludzkości w ogóle bywa dość straszna. Póki co, niech sobie palą, choć jak można czerpać z tego przyjemność, nie rozumiem.



**TOTALIZATOR
SPORTOWY**

**Totalizator Sportowy
przekazał od 1994 roku ponad**

**15
MLD zł**

**na Fundusz Rozwoju Kultury Fizycznej
oraz Fundusz Promocji Kultury**

#WygrywamyRazem

